

Powodzenia podczas sesji!

Zaczynali jako grupa przyjaciół, spędzająca czas w kreatywny sposób. Teraz ich celem jest tworzenie filmów. Jak powstało Studio Filmowe Neon, kim są jego członkowie oraz jakie są ich plany na przyszłość? – między innymi te pytania zadałem reżyserowi i założycielowi studia – Janowi Drobczyńskiemu, tuż po premierze najnowszego filmu „Bzdura”, a także „Szperającego w szparagach” w Kinie Rialto.

Skąd wziął się pomysł na założenie studia filmowego? Mam na myśli jeszcze studio Zielona Trawka Pictures. Jak wyglądała realizacja waszego pierwszego filmu?

Pomysł, żeby nagrać pierwszy film, był dosyć losowy. Byliśmy grupą przyjaciół z gimnazjum. Nawet nie wiem, skąd to się wzięło, ale wzięliśmy iPhone’a, nakręciliśmy film i stwierdziliśmy, że nam się to podoba. Potem przyszedł drugi i trzeci film, który miał już dosyć rozbudowany scenariusz. Potem zaczęliśmy się uczyć, czytać, oglądać więcej filmów i tak właśnie 18 stycznia 2018 roku zostało założone studio filmowe Zielona Trawka Pictures.

Kiedy zdecydowaliście się na przekształcenie studia Zielona Trawka Pictures w Studio Filmowe Neon? Było świadomy proces, czy raczej spontaniczna decyzja?

Przyszła matura, każdy miał inne perspektywy, studia. Praca z filmami zajmowała coraz więcej czasu i część osób nie miała go już tyle, żeby móc poświęcić się nagrywaniu. Dlatego właśnie potrzebowaliśmy nowej ekipy. Udało się ją znaleźć podczas drugiego roku moich studiów z Filmoznawstwa – zebrałem parę osób z pierwszego roku, kilka z mojego roku i trochę spoza UAM. Tak w zeszłym roku powstały pierwsze pomysły, a powiedzmy, pod koniec 2022 roku, był już w pełni wykształcony skład Studio Filmowego Neon.

Co się zmieniło, odkąd przekształciliście się w Studio Filmowe Neon? Czy oprócz dołączenia nowych członków zaszły jakieś większe zmiany?

„Chcemy wejść w branżę filmową pełną parą”



Reżyser i założyciel Studio Filmowego Neon - Jan Drobczyński, na planie filmu „Bzdura”

Dużo się zmieniło. Przede wszystkim każdy plan, film jest już bardzo mocnym projektem. Wiele czasu poświęcamy na preprodukcję, czyli to, co dzieje się jeszcze przed samą realizacją. Więcej czasu zajmuje nam też przygotowanie samego filmu i zdjęcia. Po prostu wszystko zaczęło się bardziej rozciągać w czasie, więc każdy z nas sporo inwestuje w każdy nowy projekt, ale są one bardziej przemyślane, scenariusze bardziej dopracowane i każdy musi uwierzyć w efekt końcowy. Dużo czasu pochłania sama rozmowa o filmach, o naszych pomysłach i dla mnie to jest najlepszy format – w momencie, kiedy się spotykamy, ktoś ma jeden projekt i wspólnie go odpowiednio „nabudowujemy”.

„Bzdura” – taką nazwę nosi wasz nowy film. Skąd wziął się na niego pomysł i do czego nawiązuje ten tytuł?

O ile „Szperający w szparagach” jest bardziej tym nostalgicznym spojrzeniem w przeszłość, czyli jeszcze na studio Zielona Trawka Pictures, o tyle „Bzdura” jest solidną produkcją tego typu, który chcielibyśmy realizować w

przyszłości. Kiedy byłem na drugim roku studiów i znalazłem już parę osób, to w pewnym momencie przyszedł do mnie mój bliski przyjaciel Jan Kamiński i oznajmił, że ma na swoim roku jeszcze dwie osoby – idealnie. Chłopaki z ogromną energią – Julian Hanas i Maxim Leshchuk, przedstawili mi scenariusz ze storyboardami, ze zdjęciami, conceptami, z gotowym scenariuszem. Maxim, który jest właśnie jego autorem, mówił tutaj podczas premiery, że napisał go prawie dwa lata temu. To jest wszystko jego pomysł, to jest jego film. Ja bardzo się cieszę, że mogłem mu pomóc w reżyserii i w załatwianiu innych rzeczy. Na pewno historia Maxima jest przykładem, jak my możemy działać i jak to będzie wyglądać w przyszłości. Maxim po prostu przypadkowo nas spotkał, poznał, przedstawił nam swój projekt, no i go zrealizowaliśmy – dzisiaj był wyświetlany w kinie.

Jak pracowało się wam na planie filmowym?

Muszę przyznać, że Poznań jest takim miejscem, że gdziekolwiek nie pójdziemy – znajdziemy pomoc. Byliśmy w Wi-

niarni Winkiel, zapytaliśmy i od razu było zielone światło, więc nie ma co narzekać. Ludzie byli zaangażowani. Po wiem szczerze, że gdy nagrywaliśmy jako Zielona Trawka Pictures, brakowało mi ludzi, którzy byliby obecni na planie i mogliby mieć bardziej odpowiedzialne funkcje, żeby też się rozwijali – czy operatora, czy właśnie scenariusze, czy też kierownik produkcji. A prawda jest taka, że gdy nagrywaliśmy „Bzdurę”, mogłem sobie na chwilę usiąść i zobaczyć, jak ten cały mechanizm funkcjonuje – wiedząc, że nawet gdy wyjdę na chwilę, wszyscy wiedzą, co mają robić i wszystko działa, więc nie mam absolutnie na co narzekać.

Dzisiejsza premiera jest waszym największym osiągnięciem?

Zdecydowanie. Jestem z niej dumny najbardziej. Poświęciliśmy wiele miesięcy, żeby to wszystko przygotować. Mówię o realizacji filmu, bo „Szperający w szparagach” był tak naprawdę realizowany już dwa lata temu. „Bzdura” pod koniec zeszłego roku, choć jeszcze w styczniu było kilka dni zdjęciowych. Więc na pewno najbardziej jestem dumny z tej premiery, bo mam świetny zespół – każdy jest chętny, każdy się zaangażował. Pomagają wszyscy nasi znajomi, nawet ci, którzy byli w Zielonej Trawce Pictures, a już nie są w Studio Filmowym Neon. Nasi rodzice, znajomi i inni ludzie, czasem zupełnie losowi. Dowiadujemy się, że osoby, których nie znamy, oglądają nasze najnowsze filmy, a my możemy z nimi porozmawiać. To jest niesamowite. W przeszłości co prawda było kilka rzeczy, które uznaliśmy za mniejsze osiągnięcia, ale to z tego jestem dumny najbardziej.

Jakie macie plany na przyszłość? Macie już pomysł na następny film?

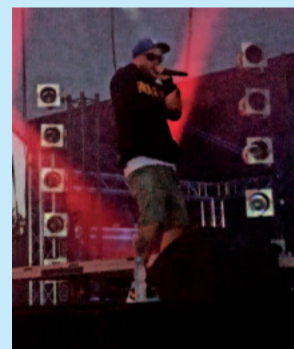
Mamy pomysł, a nawet kilka. Tak naprawdę, jak podliczyłem sobie wszystkie filmy i wszystkie pomysły, jakie mamy, wyszło ich aż dziesięć, więc jeśli tylko starczy czasu, to liczę, że w ciągu roku, dwóch, wszystko zostanie zrealizowane. A jeśli chodzi o ostatnią część Trylogii Farmerskiej – teraz nastąpi czas „Koczującego w kukurydzy” i zapowiadam, że będzie to film pełnometrażowy. Liczę, że jego premiera nastąpi tak za dwa, może trzy lata. Poza tym każdy z nas ma marzenie, aby wejść pełną parą w branżę filmową – i to jest pewnie dla każdego najważniejsze.

rozmawiał Dominik JANICKI
domjan17@st.amu.edu.pl



Z Tygodnia Świadomości o Niepełnosprawności s. 3

Polecamy



Juwenalia wróciły do Poznania! s. 4



Tęskniąc za prostszym życiem s. 7



Kontrowersje wobec rekordu Karasia s. 8

Od redakcji

Drodzy czytelnicy!

Koniec roku akademickiego już coraz bliżej, jeszcze tylko...sesja. Życzymy Wam jak najlepszych wyników, jak najmniej stresu i szybkiego przejścia w tryb wakacyjny. Pamiętajmy o tym, że odpoczynek w trakcie sesji jest równie ważny jak sama nauka, więc kiedy czujemy się przemęczeni – pora zamknąć na chwilę notatki. A po zamknięciu notatek sięgnąć właśnie po czerwcowy numer BUCa – bo nasi redaktorzy piszą w tym miesiącu o znacznie ciekawszych rzeczach niż egzaminy, projekty czy zaliczenia. Wśród nich znajdziemy wywiad Dominika Janickiego z reżyserem studia filmowego Neon, szczegółową relację z Juwenaliów – wydarzenia, którego wszyscy nie mogliśmy się doczekać, oraz dowiemy się, co działo się podczas Tygodnia Świadomości o Niepełnosprawności. Karolina Gołaszewska, w rozważaniach na temat etycznego podróżowania, zabierze Was na Hawaje, natomiast Karolina Hałabiś uda się na wieś, by przeanalizować fenomen nurtu cottagecore. Dla muzycznych koneserów przygotowaliśmy trzy recenzje najnowszych albumów – „Tubular Bells” Mike’a Oldfielda, „Green Hat” Tzusinga oraz „A Life Is But A Dream” zespołu Avenged Sevenfold. W dziale sportu nie zabrakło oczywiście komentarza do imponującego wyczynu Roberta Karasia podczas brazylijskiego Ironmana, któremu uważnie przyjrzał się Bartek Maluśki. Zatem od najnowszych artykułów naszych redaktorów może dzielić Was już tylko kilka przerw od nauki.

Życzymy przyjemnej lektury i jeszcze raz powodzenia w sesji!

Redaktor Naczelna
Daria Bajorek



Moje rozważania dotyczące etycznego podróżowania rozpoczęły się wraz ze wzmożeniem zamierzania do Hawajów – miejsca kulturą aloha, palmami i słońcem płynącego. Niestety, niewiele osób jest świadomych, jak złudny i krzywdzący dla rdzennych mieszkańców jest ten popkulturowy obrazek. Im bardziej w głąb problematyki podróżowania w sposób uważny i świadomy, tym dobitniej jawi się fakt, jak krzywdząca dla narodowej gospodarki może być turystyka. W okresie upalnego preludium wakacji przyjrzyjmy się zagadnieniu, o którym należy pamiętać w trakcie planowania swoich zagranicznych eskapad.

Rozważanie zacząć należy od pytania – co w istocie oznacza etyczne podróżowanie? Genezy należy szukać w dosłownym źródle tej idei: Globalnym Kodeksie Etyki w Turystyce.

Normy przypisane – idee zaniechane?

Mało kto zdaje sobie zapewne sprawę, że 1 października 1999 roku odbyło się Zgromadzenie Ogólne Światowej Organizacji Turystyki (UNWTO) w Santiago Chile, podczas którego stworzono dziesięcioartykułowy akt, mający regulować sposób postrzegania rynku turystycznego przez członków UNWTO. Do organizacji należą członkowie ONZ, które jest także odpowiedzialne za samo UNWTO. Skromny, bo zaledwie dziesięciostronicowy – wliczając w to rozległą preambułę – dokument wskazuje, iż turystyka ma: pogłębiać wzajemne zrozumienie oraz szacunek wśród przedstawicieli różnych krajów i nacji, pozwalać na samorealizację zbiorową oraz indywidualną, być czynnikiem zrównoważonego rozwoju, a także przynosić korzyści krajom prowadzącym państwowy rynek turystyczny.

Od wejścia w życie aktu minęły już dwadzieścia cztery lata. W kapitalistycznym, konsumpcyjnym społeczeństwie pojawiają się jednak przedstawiciele branży usługowo-turystycznej, którzy istnienie Kodeksu Etyki w Turystyce ignorują. Należy zadać zatem pytanie: czy obecnie turystyka jest tak idealistycznie etyczna, jak chciało tego WTO?

Koszule w palemki i hawajska bezdomność

Sytuacja, która jako pierwsza przychodzi na myśl, jest – rzecz jasna – głęboki, ekonomiczny kryzys większości rdzennych mieszkańców Hawajów. W polskiej kulturze nie jest to problem tak znany, bowiem niewielu naszych rodaków wyrusza w podróz na słoneczne, błękitne wyspy. Niestety nie umniejsza to problemu, jakim jest zachłanne romantyzowanie uroków wyspiarskiego państwa przez Amerykanów i międzynarodową klasę wyższą. Państwko,

Gesty świadomości



Czy potrafimy etycznie podróżować?

które nigdy nie zajmowało się agresywną ekspansją w żadnej dziedzinie z zakresu technologii, ekonomii czy wszelkich innych branży sprzyjających rozwojowi kapitalizmu, zostało pochłonięte, i co gorsza, uzależnione od dochodów z branży turystycznej. Zgodnie ze słowami Kyle Kajihiro, hawajskiego aktywisty oraz wykładowcy, zamieszczonymi na stronie AFAR.com: „Hawaje są zdeterminowane przez dyskurs turystyczny”. Joshua L. Mangaul, Hawajczyk kultywujący naukę obyczajów oraz języka rdzennych mieszkańców archipelagu w rozmowie z „Przekrojem” stwierdził, że jako państwo „stało się rezydencją dla bogaczy” – na Hawajach łatwiej bowiem kupić czy wynająć mieszkania lub domy bogatym obywatelom innych krajów, którzy na archipelagu szukają ukojenia od wyczerpujących realiów i przepracowania. Doprowadza to jednak do rosnącej stopy bezrobocia oraz problemu ze stwarzaniem silnie prosperujących innych gałęzi gospodarki państwowej.

Ze względu na wzrastające problemy gospodarczo-ekonomiczne, Hawaii Tourism Authority (Stanowe Władze ds. Turystyki) stworzyło zgrabny poradnik, jak odpowiedzialnie podróżować po Hawajach, z wyszczególnieniem atrakcji i czynności, dzięki którym turyści mogą wspierać mieszkańców państwa.

Etyczny poradnik odpowiedzialnego turysty

Zgodnie z pięknym hasłem ze strony The Hawaiian Islands – „aby z turysty stać się odpowiedzialnie doświadczającym podróżnikiem, trzeba zachować otwarte serce i umysł”. Dzięki temu łatwiej pojąć perspektywę lokalnej społeczności i w pełni ją wspierać. „Być” gdzieś powinno w istocie oznaczać „angazowanie się” we

wspólny dobrostan. Z otwartym sercem i umysłem warto także przed wyjazdem – oraz, rzecz jasna, w jego trakcie – zapoznać się z kulturą oraz historią miejsca, które ma się zamiar odkrywać. Nie bez znaczenia jest również pojęcie przynajmniej pobieżnie wartości i etyki danego miejsca.

Równie wartościowym źródłem wiedzy z zakresu etycznego podróżowania jest domena Responsible Travel, na której można poznać ideę ekoturystyki, który nierozdzielnie łączy się z etycznością podróży. Twórcy tej wartościowej strony podkreślają, jak ważne jest podróżowanie przyjazne dla społeczności lokalnej. W przypadku podróży do krajów – chociażby – Afryki stanowi to niezwykle ważny temat. Wyjazdy do Zanzibaru celem oglądania krajobrazu i słuchania amerykańskich czy europejskich przewodników bez wspierania lokalnej społeczności wydają się powielaniem kolonizacyjnych wzorców, dalekich od nagłaśnianej idei czynnej dekolonizacji.

Cytując Catherine Mack z Responsible Travel: zrównoważone, etyczne podróżowanie ma miejsce jedynie wtedy, gdy realizacja potrzeb obecnych pokoleń nie ograniczy możliwości ich realizacji przez kolejne pokolenia. Słowa te stanowią piękny ukłon dla ekologii, mówiąc o tym, jak ważni i czuli powinniśmy być w trakcie naszych zagranicznych eskapad. Jak bowiem słusznie wskazuje ekspertka: najpierw powinniśmy myśleć o celu naszej podróży, jak o czymś miejscu zamieszkania, a w dalszej kolejności traktować go jak nasze wymarzone miejsce pobytu. Chwilą zapomnienia i zachłystnięcia się pięknem otoczenia może stać się bowiem żywiołem niszczącym cudze, spokojne życie.

Karolina GOŁASZEWSKA
kargol7@st.amu.edu.pl

Redaktor miesiąca



Dominik Janicki

Cześć! Jestem Dominik, studiuję Dziennikarstwo i komunikację społeczną na pierwszym roku licencjatu. Swoją przygodę z BUCem rozpocząłem na początku bieżącego roku akademickiego. Oprócz tego działam też w Kurierze Akademickim. Najczęściej piszę do działu sportu, jednak czasem moje teksty możecie znaleźć też w dziale informacji i publicystyki oraz – tak jak bieżącym numerze – w kulturze. Najpierw płatki, potem mleko :)



Wydawca
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelna
Daria Bajorek
Zastępca redaktora naczelnego
Maria Lutkowska
Sekretarz redakcji
Karolina Hałabiś
Numer makietałowy
Daria Bajorek, Maria Lutkowska
Wydawca numeru
Daria Bajorek

Redakcja merytoryczna:
Olga Rydzewska,
Wiktor Kepiński
Natalia Budna
Eryk Więsyk
PR i Social Media
Karolina Hałabiś
Dominik Janicki
Karolina Szymczak
Hanna Yankouskaya

Korekta
Maria Lutkowska
Alicja Melanowicz
Natalia Rogowska
Izabela Tomaszewska
Redakcja
Daria Bajorek
Aleksandra Białas
Julia Kacmarek
Natalia Budna

Bartosz Chałupka
Oleksandra Dubova
Karolina Gołaszewska
Milena Guzik
Karolina Hałabiś
Ewgenija Iwanushchenko
Dominik Janicki
Bartosz Kabaciński
Julia Kacmarek
Wiktor Kepiński

Karolina Kozłowska
Michał Kubisiak
Hanna Kulak
Julia Kwaśniewska
Kamil Kwiatkowski
Kacper Lewandowski
Maria Lutkowska
Jonasz Ławniczak
Magdalena Maciejewska

Bartosz Maluśki
Agata Mania
Paweł Mańkowski
Jakub Marciniak
Mateusz Markiewicz
Alicja Melanowicz
Olga Michalska
Marcin Nowicki
Natalia Rogowska
Olga Rydzewska
Michał Rzeźnik

Anastasiya Shcherba
Emilia Szkobodzińska
Karolina Szymczak
Izabela Tomaszewska
Eryk Więsyk
Kinga Wiśniewska
Michał Wybrański
Hanna Yankouskaya
Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Aleksandra Konieczna
Lesław Ciesiołka
Skład komputerowy
Tomasz Szukała
Druk
Drukarnia w Bydgoszczy
ul. Grunwaldzka 229
85-438 Bydgoszcz
Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania i skracania
nadesłanych tekstów.

Świadomi niepełnosprawności

Tydzień Świadomości o Niepełnosprawności, który odbył się na początku maja, był pełen wydarzeń mających na celu przybliżenie uczestnikom rzeczywistości osób niepełnosprawnych oraz różnych przeciwności, z którymi zmagają się one na co dzień.

Zorganizowany przez Niezależne Zrzeszenie Studentów oraz Zrzeszenie Studentów Niepełnosprawnych „Ad Astra” Tydzień Świadomości o Niepełnosprawności był ubogającym doświadczeniem. Uczestnicy mieli okazję poznać bliżej osoby z niepełnosprawnością wzrokową, słuchową, ruchową, intelektualną i w spektrum autyzmu. Stworzono przestrzeń do spotkań między osobami niepełnosprawnymi a pełnosprawnymi, pozwalającą poszerzyć spojrzenie na niepełnosprawność.

Wzrok

W poniedziałek 8 maja ugościło nas muzeum „Niewidzialna Ulica”. Mogliśmy wejść na wystawę pokazującą życie codzienne osób niewidomych i słabowidzących, po której oprowadzali nas przewodnicy z niepełnosprawnością wzroku. Jedną z przewodniczek, Florida, przeprowadziła dla nas warsztaty pisania Braillem, podczas których dowiedzieliśmy się, jak wygląda alfabet oraz mogliśmy sami spróbować napisać parę wyrazów. Następnie pan Piotr opowiadał o swoim psie przewodniku, o tym, ile kosztuje trening takiego psa oraz pokazał nam, jak w praktyce Aron pomaga mu w przemieszczaniu się. Na koniec pani Ela, właścicielka muzeum, wyjaśniła, czym są tyflografiki (wypukłe obrazy dla osób niewidomych, które można „zobaczyć” dotykiem), a potem mogliśmy sami stworzyć taką tyflografikę. Czas spędzony w „Niewidzialnej Ulicy” przybliżył nam świat osób z niepełnosprawnością wzrokową.

Słuch

We wtorek 9 maja na kampusie Ogrody, Towarzystwo Tłumaczy i Wykładowców Języka Migowego GEST przygotowało dla nas szereg wydarzeń. Na początku odbył się wykład dotyczący kultury Głuchych, podczas którego dowiedzieliśmy się więcej



Migamy piosenkę „Kocham wolność” zespołu Chłopcy z Placu Broni

o osobach z niepełnosprawnością słuchu, a także nauczyliśmy się paru podstawowym znaków w języku migowym. Następnie mogliśmy dowiedzieć się więcej o profilaktyce słuchu, o niepełnosprawności słuchu i jej stopniach oraz zbadać nasz słuch. Po przerwie pan Olgierd uczył piosenki „Kocham wolność” Chłopców z Placu Broni w Polskim Języku Migowym (PJM-ie). Ostatnim punktem programu był stand-up słabosłyszącego komika Łukasza Kowalskiego, który był pierwszym w Polsce stand-upem tłumaczonym na żywo na Polski Język Migowy. Dzięki Towarzystwu GEST mieliśmy okazję poznać lepiej świat osób z niepełnosprawnością słuchu.

Ruch

W środę 10 maja w ramach Dnia Sportu na UAM odbyły się Integracyjne Rozgrywki Sportowe w Bocci, kiedy to osoby pełnosprawne miały możliwość spróbować swoich sił w sporcie dla osób poruszających się na wózkach. Po południu zaś założyciele fundacji Wózkowicze opowiadali o savoir-vivre wobec osób, które na co dzień używają wózków do przemieszcza-

nia się – o tym, czy pomagać i jak im pomagać. Następnie mogliśmy zmierzyć się z torem przeszkód, jeżdżąc na wózkach. Było to ogromne wyzwanie, z którym codziennie mierzą się osoby poruszające się na wózkach. Pod koniec wydarzenia wzięliśmy udział w zajęciach fitness na siedząco, Drums Alive. Fundacja Wózkowicze przybliżyła nam rzeczywistość osób z niepełnosprawnością ruchową, za co jesteśmy ogromnie wdzięczni.

Spektrum autyzmu

W czwartek 11 maja gościliśmy w Domu Studenckim „Jowita” Idę Tyminę, która jest samorzeczniczką i aktywistką na rzecz osób autystycznych. Ida otrzymała diagnozę spektrum autyzmu w dorosłym życiu i od tamtej pory szerzy wiedzę o autyzmie. Poprowadziła warsztaty o samorzecznictwie, podczas których wspólnie stworzyliśmy dekalog samorzeczników. Był też czas na podzielenie się swoimi doświadczeniami dotyczącymi aktywizmu. Po krótkiej przerwie ruszyła Żywa Biblioteka z trzema osobami w spektrum autyzmu: Olkiem, Małgosią i mną. Polegała ona na tym, że siedzieliśmy przy osobnych stołach i można było do nas podchodzić i zadawać nam pytania dotyczące spektrum autyzmu. Była to doskonała okazja do wymiany doświadczeń pomiędzy osobami w spektrum a innymi.

Niepełnosprawność intelektualna i zespół Downa

W piątek 12 maja w Galerii TAK odbyły się warsztaty malarskie, podczas których uczestnicy mogli razem z uczniami Zespołu Szkół Specjalnych nr 101 w Poznaniu i podopiecznymi Stowarzyszenia Na Tak stworzyć prace malarskie na wystawę „Męskie światy”, którą można podziwiać do 22 czerwca w Galerii TAK. Następnie w Osiedlowym Domu Kultury „Wierzbak” odbyły się warsztaty taneczne z osobami z zespołem Downa. Obydwa warsztaty były unikalną okazją do nawiązania kontaktu z osobami z niepełnosprawnością intelektualną i zespołem Downa, do lepszego ich zrozumienia i poszerzenia naszej wiedzy o ich życiu.

Julia KWAŚNIEWSKA
julkwa1@st.amu.edu.pl

Ciemna strona TikToka

TikTok to platforma zdobywająca coraz większą popularność i nowych użytkowników. Krótkie filmiki niedługo mogą stać się modniejsze niż seriale czy filmy i zajmują nasz czas na bardzo długo. Niestety, mimo że platforma zawiera przyjemne treści, tych mniej miłych również nie brakuje. Chociaż jak każda aplikacja, ta także posiada ograniczenia wiekowe, to jednak jej użytkownikami są często dzieci, na które może mieć ona negatywny wpływ.

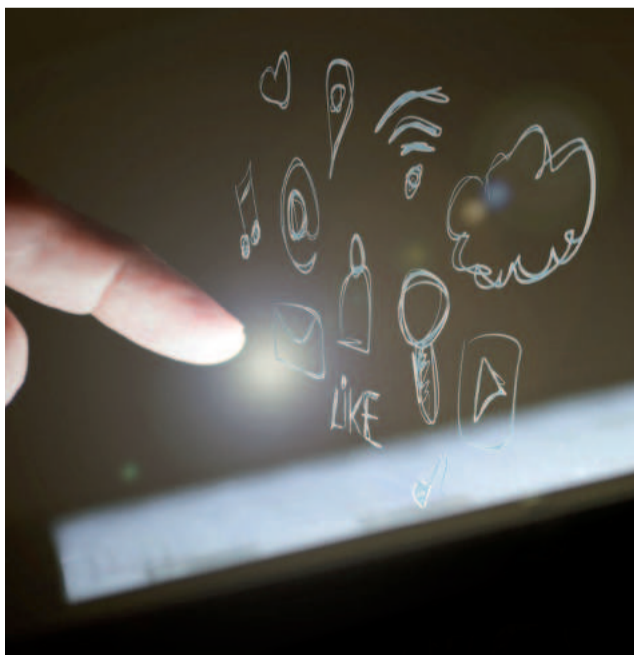
Pomiędzy wieloma treściami naszych ulubionych twórców i transmisjami na żywo pojawiają się też te, które mogą wzbudzić niepokój, a nawet stanowić zagrożenie. Coraz większą popularność zyskują treści patologiczne. Obejmują one przemoc, wulgaryzmy, treści rasistowskie, mizoginistyczne czy inne formy nieodpowiedniego zachowania. Ciekawość i zainteresowanie tym, czego nie widzimy na co dzień, sprawia, że śledzimy je i tym samym możemy przyczynić się do ich rosnącej popularności.

Patologie w internecie

Słowo patostream zostało spopularyzowane kilka lat temu i oznacza transmisję internetową promującą patologiczne treści. To między innymi libacje alkoholowe, przemoc, a nawet znęcanie się nad zwierzętami. Motywacją do wykonywania kolejnych czynności są wpłaty pieniężne dokonywane przez widzów (tzw. donejty). Dzięki temu prowadzenie takich transmisji staje się sposobem na zarabianie. Charakterystyczna jest także interakcja z widzami, który ma realny wpływ (poprzez finansowanie) na to, co wydarzy się dalej. Jak zauważa Aleksandra Żelaźńska w pracy „Patostreaming – charakterystyka i prawne konteksty zjawiska”: „Udział widza w tej patologicznej zabawie jest dużo większy niż w przypadku programów TV. Odbiorca nie tylko ogląda, ale i współreżyseruje. A jako darczyńca jest w jakimś sensie producentem tych osobliwych klipów, czasem nie do koń-

ca świadomym, do czego się dokłada. To rodzaj interaktywnej gry, jeszcze bardzo świeżej w internecie”.

Pomimo prób wyciągnięcia konsekwencji prawnych wobec streamujących patologiczne treści, zjawisko to wciąż jest obecne, ponieważ ludzie chętnie oglądają tego typu treści. Psycholog Maria Rotkiel w wywiadzie dla Dzień Dobry TVN powiedziała: „Coś takiego zawsze przyciągało widzów. Oglądamy te filmiki z bezpiecznej perspektywy, dlatego widząc rzeczy głupie, a czasem straszne, nie mamy naturalnego odruchu negacji”. W filmie „Dlaczego patologia ma taką popularność na YouTube?” Piotr Marszałkowski stwierdził, że za fenomenem stoi naturalna potrzeba podglądactwa. Ludzie porównują siebie do innych i uważają, że na tle patologii wypadają po prostu „dobrze”.



Media społecznościowe mogą być czasem zagrożeniem

Zabawne czy niebezpieczne?

Młodzi ludzie, szczególnie dzieci, które nieświadomie odnajdują i oglądają transmisje tego typu, są najbardziej narażone na ich konsekwencje. Patologiczne treści mogą wywoływać zachowania niepożądane, takie jak naśladowanie przedstawionych zachowań. Fundacja „Dajemy Dzieciom Siłę” opublikowała raport, z którego wynika, że 84% badanych nastolatków w wieku 13-15 lat słyszała termin patostreaming, a 43% badanych regularnie ogląda transmisje. Badanie przeprowadzone przez Państwowy Instytut Badawczy pod nazwą „Rodzice nastolatków 3.0” pokazało, że tylko 12% rodziców wie o materiałach oglądanych przez swoje dzieci. Często treści przynoszące złe skutki są przez widzów uważane za zabawne. Demoralizujące treści są pokazywane jako dobra zabawa, czym przyciągają do siebie młodych widzów. U dzieci może mieć to wpływ na zaburzenie rozpoznawania tego, co jest dobre, a co złe i skutkować brakiem empatii wobec agresywnych zachowań, a nawet samodzielnym ich podejmowaniem.

Jak zapobiec rozprzestrzenianiu się niewłaściwych treści?

Ważne jest, aby użytkownicy byli świadomi zagrożeń, jakie niosą za sobą nieodpowiednie treści przedstawione w patostreamach. Rodzice mogą monitorować aktywność swoich dzieci w internecie oraz rozmawiać z nimi na temat odpowiedzialnego korzystania z platform społecznościowych i streamingowych. Istotne jest, by upewnić się, że dopuszczalna granica wieku nie jest naruszana. TikTok również podejmuje działania w celu poprawy bezpieczeństwa i moderacji treści, jednak wciąż istnieje potrzeba większej świadomości społeczeństwa i działań mających za zadanie chronić młodych ludzi przed szkodliwymi treściami.

Internet i media społecznościowe mogą być sposobem na miłe spędzanie czasu. Warto wybierać treści, które nie mają negatywnego wpływu na nasze samopoczucie i zachowania. Ograniczenia wiekowe w aplikacjach nie są przypadkowe, ponieważ oglądane przez dzieci treści, mogą mieć realny wpływ na ich proces dojrzewania i zachowania w dorosłym życiu.

Karina SZYMCZAK
karszy24@st.amu.edu.pl

Juwenalia wróciły do Poznania!

Na ten moment czeka większość studentów! Coroczna impreza, która obfituje w ciekawe atrakcje, konkursy i koncerty. Atmosfera, której nie da się podrobić. Ludzie, których nie da się zastąpić i kilka dni świętowania, zabawy oraz uśmiechu! Mowa oczywiście o poznańskich Juwenaliach, które trwały przez trzy dni od 18 do 20 maja 2023 roku w parku Jana Pawła II.

Imprezę rozpoczął kolorowy pochód studentów, którzy maszerowali w rytm tanecznej muzyki po ulicach Poznania. Ważnym elementem był strój – im bardziej pomysłowy, tym lepszy! Podczas pierwszego dnia Juwenaliów frekwencja nie zawiodła. Przed bramami ustawiały się ogromne kolejki chcących wziąć udział w wydarzeniu. Ogromne wrażenie zrobiła na uczestnikach strefa animacji, gdzie organizatorzy zapraszali do wspólnej belgijki, gry w twistera, malowania twarzy, a nawet do wspólnego śpiewania przy karaoke. Sporym zainteresowaniem cieszyła się możliwość zrobienia sobie pamiątkowego zdjęcia z poznańskim koziołkiem przy świetlnej foto budce od Lumina Park. Oczywiście nie zabrakło także pysznego jedzenia i dobrej muzyki! Na małej scenie zaprezentowali się Trinakia, Dirty Daniels x Max Charm, natura2000 oraz IKSZY. Przez cały wieczór na studentów czekały różnego rodzaju upominki: m.in. czerwone okulary, które stały się charakterystycznym dodatkiem juwenaliowego stroju.

Największym wydarzeniem wieczoru był koncert polskiego rapera OKI-ego. Artysta dał słuchaczom mnóstwo energii. Raper wykonał swoje najbardziej znane utwory jak „Jeżyk!”, „SIRI” czy „Jakie to uczucie?”. Przed nim na poznańskiej scenie wystąpił także Bober oraz Szygenda x Eddie Block.

Piątkowa zmiana rytmów

Całkowita zmiana muzycznych brzmień podczas drugiego dnia poznańskich Juwenaliów zgromadziła pod główną sceną wcale nie mniejsze grono studentek i studentów. Okazji do odwiedzenia Parku im. Jana Pawła II było znacznie więcej niż tylko szeroko promowane koncerty głównych gwiazd. Bogata strefa anima-

cji i pracujące w niej osoby stanęły na wysokości zadania tworząc strefę pełną muzyki, tańca, a także śpiewu. Możliwość zrobienia sobie festiwalowego makijażu, krótkotrwałego tatuażu czy zaśpiewania z grupą znajomych na karaoke zgromadziła przed wejściami do namiotów wiele zwolenników takich atrakcji.

Na głównej scenie natomiast jako pierwszy zagościł Bartas Szymoniak, a tuż po nim pojawił się zespół Lor. Oba występy zgromadziły niemałą publiczność, która powoli rozgrzewała się przed najbardziej zapowiadanymi artystami tego wieczoru. Pierwszym z nich był Krzysztof Zalewski, który wykonał swoje najpopularniejsze piosenki takie, jak „Annuszka”, „Kurier” czy „Miłość, miłość”. W trakcie ostatniego z wymienionych utworów na scenie pojawiła się Natalia Przybyś – jej muzyczna ścieżka kariery już nieraz przecinała się z Zalewskim. Wykonali razem kilka piosenek, które uświetnione zostały niesamowitą barwą głosu wokalistki.

Jako ostatni tego dnia na scenę wskoczył Vito Bambino. Wraz z zespołem zagrał utwory z najnowszej płyty – „Poczekalnia” – wydanej zaledwie kilka dni przed koncertem w Poznaniu. Znany studenckiej widowni chociażby z zeszłorocznego Wielkiego Grillowania, tym razem wykonał zupełnie inne piosenki. Również w życiu artysty wiele zmieniło się od tego czasu, co było widać podczas krótkich rozmów z publicznością. Członek nowopowstałego składu Orkiestry Męskiego Grania 2023 zaczął publiczność wprowadzając ją w melancholijny nastrój podczas jednego utworu, po czym zachęcał do tańca zupełnie odmiennymi rytmami. Wszystko po to, aby juwenaliowa publiczność zapamiętała ten dzień na długo.

Sobotni szal rapowy

Początek ostatniego dnia imprezy miał okazać się jedynie ciszą przed burzą. Park im. Jana Pawła II powoli wypełniał się ludźmi, być może już lekko zmęczonymi po poprzednich dniach zabawy, lecz wciąż z apetytem na więcej. Całe szczęście, ta spokojna atmosfera w mgnieniu oka zmieniła się w absolutny szal.

Na pierwszy ogień poleciał Rookie Polish Jesus i CORY. Trzeba przyznać, że ci, którzy dotarli na Juwenalia chwilę później, mają czego żałować. Rookie swoimi „nawijkami” pokazał, że jest

artystą, który już niedługo będzie obstawiał festiwale jako gwiazda wieczoru. A CORY mogłyby prowadzić zajęcia z tego, jak stworzyć niesamowity nastrój na scenie – ich zaraźliwa energia sprawiła, że słuchacze nie mogli powstrzymać się od bujania.

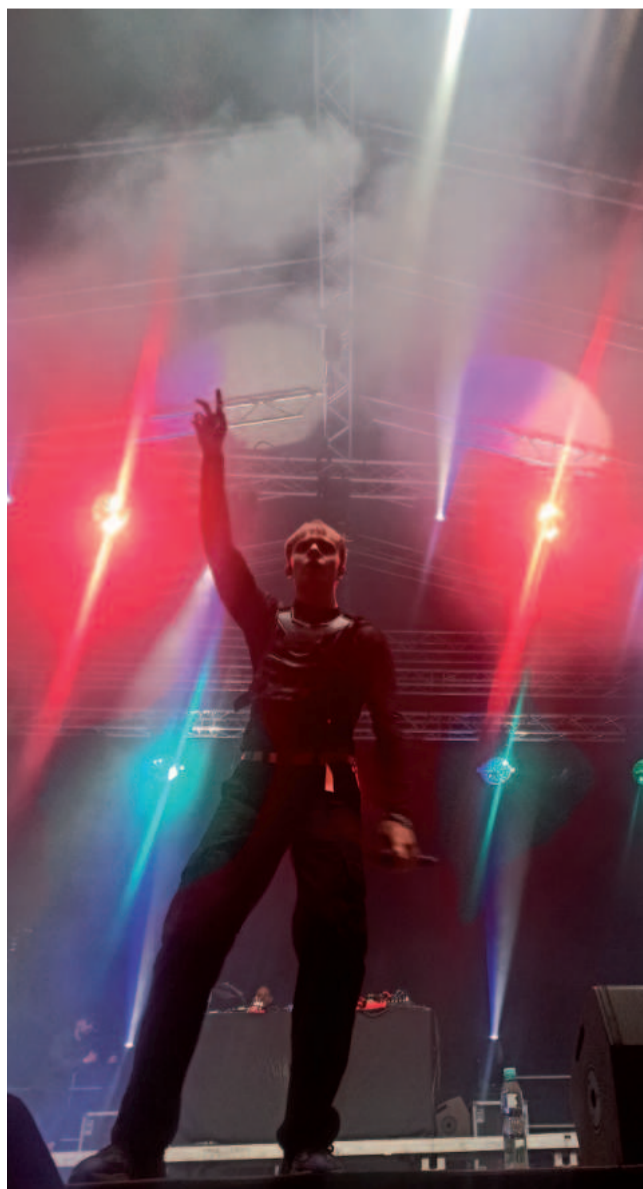
Gdy pałeczkę po nich przejął Shellerini, wszyscy zrozumieli, dlaczego Poznań hip-hopem stoi. Bity jego piosenek roznosiły się daleko poza strefę koncertową. Nie obyło się również bez niespodzianki, kiedy gościnnie na scenie pojawił się donGURALESCO, aby zaszerwować fanom lekcję prawdziwej starej szkoły. Zresztą, na Małej Scenie, gdzie w tym samym czasie miała miejsce bitwa freestylewa, temperatura również sięgała zenitu.

Na godzinę przed północą doszło do absolutnej eksplozji. Wraz z pierwszymi dźwiękami „200 osób w kawalerce” Kinny Zimmer doprowadził tłum do szaleństwa, który był na jego każde zawołanie. W pewnym momencie trudno było określić, czy przypadkiem Juwenalia nie zamieniły się w rave – wszyscy dali się porwać, a występ Kinniego minął zdecydowanie za szybko.

Guzior zaprezentował się tak, jak na gwiazdę wieczoru przystało. Nie mogło zabraknąć takich numerów jak „Płuca zlepione topami”, „FALA”, „Chabo” oraz nagranych z LouiSEM Villainem „Bellucci”. Widać było, co zaznaczał sam raper, że zależało mu na jak najbliższym kontakcie z publicznością. I to mu się udało – „Płuca zlepione topami” zaśpiewali wszyscy, czyniąc występ Guziora wyjątkowym momentem na zamknięcie tego rocznego wydarzenia.

Przedostatni weekend maja z pewnością zapisze się jako jeden z najgłośniejszych imprez ostatnich lat w Poznaniu. Bogaty line-up, masa atrakcji i tęsknota za studencką integracją, podsycona przez ostatnie lata pandemii, uczyniły z Juwenaliów definitywny sukces. Miejmy nadzieję, że za rok będzie tylko lepiej!

Karolina HAŁABIŚ
karhal2@st.amu.edu.pl
Kinga WIŚNIEWSKA
kinwis3@st.amu.edu.pl
Natalia ROGOWSKA
natrog7@st.amu.edu.pl



Kinny Zimmer



Shellerini



Guzior



Poznański Koziołek



Tłumy pod juwenaliową sceną

Rurowe dzwony biją 50 lat

Pierwszy album to zawsze wyzwanie dla muzyków. Niektórzy nie odnoszą sukcesu automatycznie, inni zaś szybko stają się rozpoznawalni dzięki swoim debiutom. Jednak chyba żaden debiutancki krążek nie miał takiego wpływu na muzykę, jak „Tubular Bells” Mike’a Oldfielda, który w tym roku obchodzi pięćdziesięciolecie powstania.

Dzwony rurowe to prosty instrument muzyczny składający się z metalowych rur o szerokości 3-4 cm, zamontowanych na jednej ramie. Dźwięk wydobywa się, uderzając w nie obitym miękkim materiałem młotkiem. Jednak czemu wspominam o tym instrumencie? Bo właśnie od nich się wzięła nazwa jednego z najważniejszych albumów w historii muzyki, czyli obchodzącego 50. rocznicę powstania „Tubular Bells” Mike’a Oldfielda, którego specjalną reedycję wydano pod koniec maja.

Związek Radziecki i „Egzorcysta”

„Tubular Bells” to wyjątkowy projekt Mike’a Oldfielda, który uTORował mu drogę do wielkiej kariery muzycznej. Jest to jeden z najambitniejszych projektów muzycznych w ogóle – nie tylko na pierwszej płycie Oldfield wykonał instrumentalny materiał o eksperymentalnym charakterze, który wydawał się nie być skierowany do słuchaczy popularnej muzyki. Oldfield nagrał ten album niemal sam. Prawie każda partia instrumentalna została wykonana przez, 19-letniego wówczas, Brytyjczyka.

Historia wydania albumu jest równie intrygująca. Mike Oldfield oferował swój materiał wielu wytwórniom muzycznym, jednak spotykał się z odmową. W pewnym momencie coraz bardziej rozczarowany artysta rozważał nawet wyjazd do Związku Radzieckiego, po tym jak usłyszał, że muzycy otrzymują tam pieniądze za występy publiczne. Jednak nieoczekiwanie otrzymał on zaproszenie na lunch od Richarda Bransona, założyciela wytwórni Virgin Records, co miało okazać się drogą do sławy zarówno dla Oldfielda, jak i Bransona.

Po nagraniu i wydaniu albumu 25 maja 1973 początkowo ten słabo się sprzedawał. Jednak pod koniec roku album zaczął zyskiwać na popularności dzięki premierze kultowego już horroru Williama Friedkina „Egzorcysta”. Wykorzystanie otwierającego album motywu zagrałego na fortepianie w jednej ze scen sprawiło, że album przebił się na pierwsze miejsca list przebojów. W samej Wielkiej Brytanii album pozostał od marca 1974 w pierwszej dziesiątce brytyjskiej listy przebojów UK Albums przez cały rok, będąc nawet przez tydzień najlepiej sprzedającym się albumem.

Sukces „Tubular Bells” pozwolił Oldfieldowi rozwinąć karierę, a wpływ płyty był widoczny jeszcze przez bardzo długi czas w jego twórczości. Nie tylko muzyk wydał w późniejszych latach płyty, zatytułowane jako druga i trzecia część albumu, ale też wydał specjalną reedycję w 2003 roku. Dodatkowo na wielu innych jego albumach pojawiał się żywcem wyjęty z „Tubular Bells” podział na dwie długie części, zamiast na kilka krótkich utworów.

Muzyczne „Wszystko wszędzie na raz”

„Tubular Bells” to album dwuczęściowy, z których każda trwa prawie pół godziny. Daje więc to niemal godzinną, szaloną muzyczną podróż, gdzie wszystko zmienia się jak w kalejdoskopie. Ten album prezentuje niemal cały przekrój ówczesnie nagranej muzyki. Znajdziemy tu zarówno nawiązania do muzyki klasycznej oraz ludowej, rocka, bluesa, metalu, rozwijającej się dopiero elektroniki, ale też awangar-



Okladka rocznicowego wydania nawiązuje do pierwszej edycji „Tubular Bells” - charakterystyczna zagięta rura tym razem jest złota

dy. Niemal każdą partię, jak już wspomniano, nagrał Oldfield, dając pokaz wirtuozerii. Usłyszeć bowiem można nie tylko fortepian, gitarę elektryczną oraz akustyczną czy bas, ale też mandolinę, dudy, dzwony, różnego rodzaju organy (zarówno Hammond, jak i Lowrey) czy tytułowe dzwony rurowe.

Na płycie pojawiają się również partie wokalne chóru oraz siostry Mike’a, Sally. Ciekawa jest również partia tzw. „Człowieka z Piltown” z drugiej połowy płyty. Wykonuje ją sam Mike, jednak przypomina ona pochrząkiwania jaskiniowca. Potoczna nazwa tego fragmentu nawiązuje do rzekomego brakującego ogniwa ewolucji między człowiekiem a małpą, które zostało wykryte w 1912 roku, lecz ostatecznie okazało się oszustwem. Partia powstała zatem jako złośliwa odpowiedź muzyka na żądania wytwórni, która chciała, aby na albumie pojawiły się partie wokalne.

Sam album można więc porównać do filmu „Wszystko wszędzie na raz”, gdzie bardzo wiele instrumentów oraz stylów muzycznych może rozpraszać. Jednak całość, w szerszym kontekście, jest harmonijna i zgrywa się idealnie, tworząc fascynujący muzyczny kolaż, kończący się wesołą melodią „The Sailor’s Hornpipe”.

Bogactwo edycji specjalnej

Specjalne wydanie z okazji pięćdziesięciolecia płyty to nie lada gratka, nie tylko dla fanów angielskiego kompozytora. Rocznicowa wersja „Tubular Bells” składa się zarówno z odnowionego mixu, jak i koncertowego medleyu, łączącego fortepianowy motyw z „In Dulci Jubilo”, który można było usłyszeć podczas Igrzysk Olimpijskich w Londynie w 2012 roku. Zawarto także remix w stylu techno oraz trance, którego współautorami są Oldfield oraz niemiecki duet YORK. Ta edycja albumu składa się też z singla promocyjnego z 1973 roku, zatytułowanego po prostu „Mike Oldfield’s Single” – powala on brzmieniem elektrycznych gitar, przypominających dźwięk dud. Interesujący jest również specjalny mix materiału autorstwa Davida Kostena, który pozwala cieszyć się muzyką Mike’a Oldfielda w jeszcze lepszej jakości.

Ostatnim dodatkiem jest utwór zatytułowany „Tubular Bells 4 Intro”. Jest to przetworzony i poszerzony motyw fortepianu otwierający oryginalne wydanie. Utwór ten miał służyć za otwarcie czwartej odsłony „Tubular Bells”, jednak ze względu na swój wiek oraz sugerowaną przez fanów chorobę Oldfield zrezygnował z prac nad nowym albumem. Można więc powiedzieć, że specjalna edycja to nie tylko prezent dla fanów, ale także oficjalne pożegnanie z muzyką w bardzo dobrym stylu. Chyba że Mike Oldfield nas jeszcze zaskoczy...

Urodzony w Malezji, pochodzący z Szanghaju i Tajwanu producent Tzusing wydaje się postacią enigmatyczną – choćby dlatego, że nigdzie nie odnalazłam, jak naprawdę się nazywa czy ile dokładnie ma lat. Wiadomo, że od około dwudziestu lat jest DJ-em, obecnie rezyduje w Szanghaju lub Tajpeju, a z końcem marca, po sześciu latach od debiutanckiego albumu, wydał kolejny – „Green Hat”.

Pierwsze kroki za konsolą stawiał w 2002 roku w Chicago, dokąd przeprowadził się po ukończeniu szkoły w San Diego. Wtedy zdecydował, że chce związać swoją przyszłość z muzyką, co jednak nie spodobało się jego rodzicom. Dlatego wrócił ze Stanów do Szanghaju, gdzie założył własny biznes z częściami do rowerów. Biznes ma się dobrze, ale w wieku 30 lat Tzusing postanawia zrobić coś dla siebie – i wraca do tworzenia muzyki. Udaje mu się zdobyć zlecenie w klubie Shelter, jego set wzbudza zainteresowanie właściciela (o ironio – bywalcy klubu raczej opuszczają wtedy parkiet) i takim sposobem staje się stałym rezydentem. W 2011 roku rozpoczyna cykl „Stockholm Syndrome”, który gości w kalendarzu Shelter aż do końca 2016 roku i jego zamknięcia. Kilka znajomości klubowych później i kawałek „Teeth”, który udaje się wydać Tzusingowi na EP-ce „Dark Acid III” trafia do Rona Morelli – właściciela Long Island Electrical Systems (L.I.E.S.), jednej z kluczowych wytwórni muzyki techno i house tej dekady. Morelli podpisuje z muzykiem kontrakt, którego owocem jest trylogia EP-ek „A Name Out of Place” z lat 2014-2016 oraz debiutancki album – 橄欖信柵 („Dongfang Bubai”). Znakiem rozpoznawczym Tzusinga błyskawicznie stało się łączenie techno, EBM i muzyki industrialnej z tradycyjnymi brzmieniami Azji i Bliskiego Wschodu. Natomiast najnowszy album „Green Hat”, już nie spod szyldu L.I.E.S., a wytwórni PAN, zdaje się trochę odbiegać od charakterystycznego dla muzyka brzmienia.

Lżej, ale mroczniej

Nowego wydania słuchałam dzień po premierze i nie ukrywam, że moją pierwszą reakcją było rozczarowanie. Pomyślałam, że czegoś w

W zielonej czapce



Zielona czapka obowiązkowo pojawia się na okładce

tym albumie brakuje, ale wraz z kolejnymi odsłuchaniami utworów ta myśl bledła. W poprzednich wydaniach Tzusinga żaden utwór nie był na tyle słabszy od innych, aby go pomijać. Spośród dwunastu kawałków na „Green Hat” ginie chociażby „Muscular Theology” czy „攬致悟 (Wear Green Hat)”. Największą różnicą, jaką zauważyłam pomiędzy dotychczasową twórczością muzyka a nowym albumem, jest trochę lżejsze brzmienie. Trylogia „A Name Out of Place” i album „Dongfang

Bubai” były silnie katartyczne, cięższe, czego spodziewałam się również po „Green Hat” – stąd moje początkowe rozczarowanie. Niemniej, „Green Hat” nie jest złym albumem. Mroczne klimaty towarzyszą Tzusingowi od samego początku, ale w „Residual Stress”, „Balkanize” czy „馴勉啄麟 (Idol Baggage)” buduje już takie napięcie jak w horrorach Hitchcocka. Wielokrotnie przeplata elektroniczne brzmienia z krzykami, dźwiękami ludzkich głosów, często zniekształconych cyfrowo.

Nie odchodzi też od industrialnego brzmienia, które najbardziej słychać w „带扇瘋 (Fitial Endure Ruthless)”, natomiast „Exascale” chyba najbardziej zbliża się do samego techno z dodatkami brzmień azjatyckich. Wpływy chińskich korzeni Tzusinga słychać także w „馴勉啄麟 (Idol Baggage)”, choć na tym albumie są one trudniejsze do wychwycenia niż w przypadku wydań poprzednich. „Green Hat” podsumowuje gorączkowe „Residual Stress”. Najnowsze wydanie DJ-a z Szanghaju/Tajwanu to nadal mieszanka techno, EBM, brzmień industrialnych i azjatyckich, wzbogacona o mocną perkusję i klimat rodem z horroru, który może, a nawet powinien, wywołać uczucie niepokoju.

Kto założy tytułową czapkę?

Znaczenie tytułu albumu staje się oczywiste już w pierwszym kawałku „Introduction”. Robotyczny, żeński głos tłumaczy, że „noszenie zielonego kapelusza/czapki to chiński symbol rogacza” (mężczyzny zdradzającego przez kobietę, z którą tworzy stałą parę). Poprzez ten motyw, „Green Hat” ma dokonać rekonstrukcji chińskiej męskości, choć przyznając, że nie będąc częścią kultury azjatyckiej, trudno jest to szczegółowo przeanalizować. Tytuł utworu „攬致悟 (Wear Green Hat)” może być aluzją do delikatnej męskości, której, według chińskiego przesądu, zagraża nawet założenie zielonej czapki. Natomiast brzmienie „带扇瘋 (Fitial Endure Ruthless)”, „Clout Tunnel” i „Residual Stress” przywołuje na myśl motywy militarystyczne, które niewątpliwie łączone są z męskością – już nie tylko w kulturze azjatyckiej. Tym bardziej, że „Residual Stress” rozpoczyna seria zniekształconych cyfrowo odgłosów wystrzałów z broni. Album nie stara się znaleźć alternatywy ani rozwiązania dla delikatnej męskości czy oczekiwań związanych z płcią, ale może wyrażać gniew i frustrację, które rodzą się na skutek tych tematów.

Wśród producentów muzyki elektronicznej, Tzusing z pewnością ma się czym wyróżnić. Trylogia EP-ek oraz debiutancki album ugruntowały jego styl i pozycję w branży muzycznej, a „Green Hat”, choć lżejszy od poprzednich wydań, nadal trzyma poziom i zaciekawia na tyle, by obserwować dalsze projekty DJ-a.

Daria BAJOREK
darbaj@st.amu.edu.pl

Avenged Sevenfold nie rzuca słów na wiatr. Już długo przed oficjalnym ogłoszeniem szczegółów swojego ósmego studyjnego albumu zespół twierdził, że będzie to płyta eklektyczna i zupełnie inna od dotychczasowego dorobku metalowców z Kalifornii. Jednak nawet takie zapowiedzi nie mogły przygotować fanów na tak zwariowaną i jednocześnie wysublimowaną podróż, jaka czeka ich na „A Life Is But A Dream...”.

Są takie albumy, które po przesłuchaniu pozostawiają słuchacza z setką myśli, z których żadną nie jest łatwo przekuć w słowa. Jest coś niesamowitego w ewolucji Avenged Sevenfold, który z zespołu grającego zabójczo szybki metalcore przeszedł przez monumentalne stadionowe hity do etapu, na którym może pozwolić sobie na absolutną metalową awangardę. Nietypowe syntezę z pozoru nieprzystających do siebie elementów, będące podkładem dla egzystencjalnego przesłania są solą tej płyty, która zostanie z Wami na długo – bez względu na to, czy ją pokochacie, czy zniechęcicie.

Szalony sen

Przesuwając granice

Już wydany przed siedmioma laty, poprzedni album formacji był krokiem w nieoczekiwanym kierunku. Świetne „The Stage” też wychodziło poza schemat wypracowany przez wcześniejsze lata kariery. Album ten pochylał się w stronę bardziej złożonych kompozycji z wykorzystaniem elementów symfonicznych oraz filozoficznej warstwy lirycznej poruszającej tematykę skupioną mocno na futurystyce i człowieczeństwie z perspektywy większej, kosmicznej całości. „A Life Is But A Dream...” kieruje się w bardziej introspektywną narrację. Zespół, jako jedną z największych inspiracji, wskazuje powieść „Obcy” Alberta Camusa i faktycznie cały album spowity jest przemyśleniami bliskimi egzystencjalizmowi, a momentami wręcz nihilizmowi. Muzycznie natomiast od samego startu jest co najmniej osobliwie.

Już otwierający „Game Over” daje nam próbkę tego, co czeka nas przez kolejne 50 minut. Spokojne akustyczne intro przeradza się w szaloną jazdę bez trzymanki w stylu

przypominającym nieco System Of A Down, by w środku uraczyć nas sielankowym fragmentem, który spokojnie można by przypisać Beatlesom. Wspomniany już wcześniej eklektyzm towarzyszyć nam będzie jeszcze nie raz. Wystarczy zwrócić uwagę na pierwszy singiel z tej płyty, czyli „Nobody”, który rozpoczyna się przedłużonymi riffami rodem z industrial metalu, a wraz z rozwojem utworu zauważalnie przybywa elementów orkiestrowych – instrumenty dęte oraz smyczkowe zapewniają całą feerię doznań.

Muzyczna mozaika

San Bernardino Symphony, która była odpowiedzialna właśnie za wyżej wspomniane partie, odgrywa na „A Life Is But A Dream...” znaczącą rolę. Chyba najpiękniejszy pod kątem tej współpracy jest „Cosmic”. Rozbudowana metalowa ballada z sekcjami symfonicznymi, piękną solówką i znakomitą pracą wokalną M. Shadowsa to jedna z najbardziej przemyślanych kompozycji w dorobku zespołu – biorąc pełną odpowie-

dzialność za te słowa. Znakomitych gitarowych solówek zresztą jak zawsze na płytach Avenged Sevenfold nie brakuje, a Synyster Gates po raz kolejny udowadnia, że jest w gronie najwybitniejszych gitarzystów współczesnej muzyki. Jest on zresztą odpowiedzialny za sporo innych instrumentów, włączając w to mellotron (w utrzymanym w nieco marszowym tempie „Beautiful Morning”), czy syntezator (w z pozoru radośniejszym, ale nasyconym niepokojem „Easier”). Zasiada również przy pianinie, dla którego miejsce znalazło się w wielu utworach, ale szczególnie w zaskakującym utworze tytułowym zamykającym płytę.

Świetną robotę wykonali oczywiście również pozostali członkowie zespołu. Wspomniany już M. Shadows co rusz daje wokalne popisy. Brooks Wackerman już na dobre zdomował się w Avenged Sevenfold i jego wyrazista perkusja wychodząca niekiedy na pierwszy plan także nie pozostanie wam obojętna. Johnny Christ to wciąż potężna gitara basowa, a będące nieco w cieniu popisów Gatesa brzmienia wspierającej gitary Zacky’ego Vengeance’a są fundamentem dla ściany riffów utworów takich jak „Mattel”. Cudów dokonano też w produkcji. Mastering płyty stoi na najwyższym poziomie i musi być przyznać,

Tekst „Empire State of Mind” jest wryty w pamięci chyba każdego. Alicia Keys śpiewająca słowa „Concrete jungle where dreams are made of” to oda do uroków wielkomiejskiego życia. Jednak dla wielu przez ostatnie lata aglomeracje stały się symbolem człowieka umęczonego. Marzenia mieszkańców miast skierowane są teraz w zupełnie innym kierunku.

Połacie zieleni, zwiewne sukienki i domowa lemoniada popijana w cieniu drzew – to tylko kilka z klisz przedstawiających ideę cottagecore. Internetowy trend, który dożył własnej strony na Wikipedii, był jedną z najpopularniejszych estetycznych wizji definiujących 2020 rok. Jaka jest zatem jego idea?

Z dala od zgiełku

Cottagecore to celebrowanie prostego życia poza miastem, które ma dość mocno sprecyzowane ramy. Jest to pewnego rodzaju bańka w świecie online, gdzie istnieją tylko urokliwe zdjęcia natury, przepisy na domowe ciasta lub inspirujące rękodzieła. I choć nurt ten jest adorowany przez Amerykanów zafascynowanych europejską wsią, na pewno nie odzwierciedla rzeczywistości – bliżej jest mu do angielskiego życia w powieściach Jane Austen, niż zmechanizowanego rolnictwa w Niemczech czy w Polsce.

Czy można jednak uznać to za coś złego? Świat cottagecore to przestrzeń do tworzenia, dbania o siebie nawzajem i rozwoju rozumianego inaczej niż korporacyjny coaching. Nie istnieje tam polityka czy konflikt. Jego uczestnicy podejmują się chyba każdego możliwego hobby, które nie wymaga dostępu do komputera lub sportowego sprzętu. Pieczenie, haftowanie, ogrodnictwo, malarstwo czy nawet gamcarstwo – opcje kończą się tam, gdzie sięgają granice wyobraźni.

Jak jednak słusznie zauważyła Isabel Slone dla „New York Times”: „dostęp do wszechświata cottagecore jest możliwy tylko dzięki technologii, której większość jego zwolenników wolałaby raczej uniknąć”. Ironia tej subkultury polega na tym, że idealizowane są miejsca nietknięte osiągnięciami ludzkości, takimi jak internet czy radiotelefon – co w obecnych czasach wielu mogłoby doprowadzić do szaleństwa, już po upływie kilku dni lub tygodni.

ze dawno żaden album nie sprawił mi tak dużo radości z technicznego punktu widzenia. Świetny balans, zabawy z przesuwaniem dźwięków od lewej do prawej, okazjonalne użycie auto-tune’a czy liczne zniekształcenia sprawiają, że płyta jest jeszcze bardziej szalona. Zyskują na tym szczególnie utwory już w swojej istocie mocno zakrecone kompozycyjnie, jak nietypowy tryptyk „G”, „(O)rdinary” i „(D)eath”. Środkowy element tej układanki jest poza tym najbardziej zaskakujący stylistycznie – bliżej mu do klimatów Daft Punk niż formacji metalowej.

W poszukiwaniu sensu

Wspominałem już nieco o leitmotiwie całego albumu, jednak pojedyncze rozdziały tej egzystencjalnej podróży również zapadają w pamięć. Mamy tutaj, chociażby piekło monotonii i sztuczność codzienności w „Matel”, reinkarnacyjne majaki w podszytym nadzieją „Cosmic” czy śmiertelnego paradoksu w „Nobody”. A to zaledwie wstęp do wielu rozważań, do których zaprasza nas zespół. Fakt, że każda piosenka z osobna ma w sobie wiele do odkrycia, nie sprawia, że są one tak samo interesujące jako indywidualne dzieła. Wyrwane z całości albumu tracą nieco swoje walory, co tylko potwierdza, że „A Life Is

Tęskniąc za prostszym życiem



Łąki i zwiewne sukienki - to tym też charakteryzuje się cottagecore

Ucieczka od rzeczywistości

Żyjemy pod coraz większą presją. Europejska Agencja Bezpieczeństwa i Zdrowia w Pracy w 2022 roku opublikowała sondaż, w którym niemalże połowa respondentów stwierdziła, iż w pracy narażeni są na dotkliwy stres i/lub nadmiar obowiązków. Dwa lata wcześniej The American Institute of Stress podało, że 40% pracowników uważało swoją pracę za bardzo stresującą. Jednym z głównych powodów była oczywiście pandemia koronawirusa, niemniej teraz, pomimo mniejszej liczby zachorowań, tendencja wzrostowa pozostała.

Trudno się więc dziwić, że cottagecore tak szybko rozwinęło się z niszowego zakamarka TikToka w tak liczną społeczność. Jest to zupełne przeciwieństwo współczesnych struktur, przepełnionych bodźcami i terminami do dotrzymania

nia oraz świata, w którym wieczory spędzane są wśród betonowych murów. Wprawdzie większość może jedynie obserwować estetyczne zdjęcia, a nie rzeczywiście biegać pośród traw, jednak czasem to wystarczy. Jest to okno na świat, który zabiera troski rzeczywistości i przynosi ukojenie.

Bezpieczna przestrzeń

Oficjalnie grono tego trendu nie jest zamknięte na nikogo. Ciekawe jest jednak to, że przy przeglądaniu kolejnych postów, natknęcie się na grafiki przedstawiające mężczyzn graniczy z cudem. Nie jest to jednak mizandria – zapewne zostaliby ciepło przyjęci, gdyby tylko wyrazili chęć partycypacji.

Cottagecore zostało zdominowane głównie przez kobiety i osoby LGBTQIA+. Courtney Jay

Higgins dla „The Good Trade” zwracał również uwagę na aspekt rasowy – dawniej wykluczeni ludzie mogą nareszcie odzyskać styl życia, który został im odebrany w wyniku prześladowań i segregacji. Na pierwszy rzut oka losowy obserwator mógłby stwierdzić, że społeczność ta nawołuje do przywrócenia tradycyjnych ról. Okazuje się jednak, że uczestnicy podziwiają ten styl życia, ponieważ mogą robić to sami dla siebie.

Każde słowo, każde ciasto i haft powstają dla czystej przyjemności z tworzenia. Tak samo każde polubienie pada z satysfakcją, że uwiecznione zostało coś stworzone z miłości i poszanowania samego siebie. Niezależnie od tego, kim jesteś.

Tak więc: trwaj chwilo, trwaj.

Karolina HAŁABIŚ
karhal2@st.amu.edu.pl

But A Dream...” zostało przemyślane jako kompletna całość i w taki sposób przede wszystkim trzeba ją odbierać, nawet jeśli niekoniecznie jest to proste. Pomagają w tym doskonale rysunki Wesa Langa, które powstawały niemal symultanicznie z materiałem muzycznym i wzajemnie na siebie oddziaływały, tworząc świetnie uzupełniające się elementy.

Jestem w pełni świadomy, że co bardziej ztwardziali fani oryginalnego Avenged Sevenfold mogą nie być zachwyceni takim kierunkiem rozwoju zespołu. Jednak śledzenie ewolucji zespołu sprawia, że tym bardziej należy docenić kunszt muzyków, a być może także wielką odwagę. Pozwolenie sobie na tak znaczące wyjście poza swój oryginalny styl tylko utwierdza w przekonaniu, że na tym etapie kariery formacja może pozwolić sobie na absolutnie wszystko. To właśnie z takich aktów śmiałości powstają najciekawsze dzieła. W przypadku „A Life Is But A Dream...” dostaliśmy zarazem jedną z najbardziej szalonych płyt tego roku, jak i jeden z najlepszych albumów metalu progresywnego trwającej dekady. Wystarczy spróbować zatracić się w tym śnie na jawie...

Wiktor KĘPIŃSKI
wikkep@st.amu.edu.pl



Oktładka albumu

Wielki wyczyn czy szczyt głupoty?

Robert Karaś ustanowił podczas Brazil Ultra Tri w Rio de Janeiro nowy rekord świata na dystansie dziesięciokrotnego Ironmana. Wyczyn Polaka odbił się szerokim echem w mediach, a wraz z gratulacjami i słowami podziwu, pojawiły się też gorzkie komentarze. Te sugerowały, że to już nie jest sport, tylko niezdrowe przekraczanie granic ludzkiego organizmu.

Zawody Ironman w triathlonie wymagają od uczestników pokonania 3,86 km pływania dowolnym stylem, 180,2 km jazdy na rowerze oraz 42,2 km trasy biegowej. Same te dystanse wydają się być niewyobrażalne dla zwykłych śmiertelników. Robert Karaś postawił sobie za cel pokonanie dziesięciokrotności tego dystansu w rekordowym czasie, czyli musiał pokonać łącznie aż 2260 kilometrów trasy.

W Szwajcarii wygrała kontuzja

Pierwszym podejściem do pobicia rekordu w dziesięciokrotnym Ironmanie, były rozegrane w ubiegłym roku zawody Swissultra w miejscowości Buchs. Celem stało się zejście poniżej czasu 190 godzin 17 minut i 16 sekund, który przed pięcioma laty ustanowił Niemiec Richard Jung. Karaś rozpoczął zmagania wycieczką, 38 kilometrów pływania pokonał najszybciej z czterdziestoosobowej stawki. Ta czynność zajęła mu zaledwie 9 godzin i 44 minuty! Następnym etapem była część kolarska, wynosząca 420 kilometrów. Jazdę na rowerze ukończył z czasem 68 godzin 44 minut i 40 sekund, nadal prowadząc.

Problemy pojawiły się na trasie biegowej. Na trzy tygodnie przed startem w tych zawodach, Karaś został poddany zabiegowi wycięcia guza. Było to konieczne, gdyż przez niego Polak nie mógł wsiąść na rower ani biegać. Triathlonista był w stanie pokonać 65 kilometrów trasy na swoich nogach, lecz po tym musiał się poddać. Pooperacyjna rana rozerwała się i zaczęła z niej lecieć ropa, dla Karasia był to koniec marzeń o pobiciu rekordu świata podczas Swissultra. Niedyspozycję Polaka wykorzystał Belg Kenneth Van-



Karaś wcześniej ustanawiał rekordy świata na dystansach dwukrotnego, trzykrotnego i pięciokrotnego Ironmana

thuyne, który wygrał i zapisał się w annałach jako nowy rekordzista świata z wynikiem 182 godzin 43 minut i 43 sekund.

Szczeńliwa Brazylia

Do rywalizacji w Rio de Janeiro Robert przystąpił z nowymi nadziejami. Część pływacka przebiegła bez żadnych problemów. Polak od początku znajdował się na prowadzeniu, a jego czas wyniósł 9 godzin i 35 minut. Podczas jazdy na rowerze pojawiły się pierwsze komplikacje. Jak opisywał na Instagramie zespół Karasia, ten w pewnym momencie nie mógł podnieść powiek, ale udało się ten problem zażegnać. Triathlonista nie chciał mamować czasu i przez pierwsze 54 godziny wyścigu, przespał zaledwie 45 minut! Fazę kolarską zakończył z przewagą około pięćdziesięciu okrążeń nad drugim Jurandem Czabańskim.

Po pokonaniu pierwszych „kółek” trasy biegowej okazało się, że... Karasiowi odnowił się poprzedni uraz. Podjęto decyzję o ośmiogodzinnej przerwie regeneracyjnej, podczas której próbowano poprawić stan zdrowia sportowca. Gdy Robert powrócił na trasę, to Czabański zakończył jazdę na rowerze. Od tego momentu Polacy połączyli siły i biegli razem, wspólnie motywując się, później dołączył do nich kolejny kraj, Rafał Godzwon. Gdy Karasiowi pozostało do mety pięćdziesiąt kilometrów, doznał zapale-

nia mięśnia piszczelowego przedniego. Ten uraz sprawił, że bieganie było niemożliwe i pozostałą część dystansu musiał pokonać chodem. Organizm triathlonisty z Elbląga jednak wytrzymał i ten zameldował się na mecie z rekordowym czasem 164 godzin 14 minut i 2 sekund.

Nie każdy wpadł w euforię

Informacja o pobiciu rekordu świata przez Roberta Karasia spotkała się z wybuchem radości wśród kibiców, którzy z wypiekami na twarzach śledzili jego poczynania. Wielu fanów słało słowa uznania oraz gratulacje w stronę triathlonisty. Do tego grona dołączyli polscy sportowcy, m.in. Anita Włodarczyk, Artur Szpilka oraz Sławomir Peszko, którzy nie szczędzili wyrazów podziwu.

Odmienne zdanie na ten temat ma fizjolog prof. dr. hab. Marek Zatoń z AWF-u we Wrocławiu. W rozmowie z Przeglądem Sportowym powiedział „Mogę tylko przypuszczać, że kiedy ktoś ma kompleksy albo czuje się niedowartościowany, że mu nie wyszło w sporcie, to szuka sobie jakiejś dziury, w której mógłby zaistnieć. To mi się wydaje jedyną motywacją, żeby robić szaleńcze rzeczy, nawet z kontuzją. Nie sądzę, żeby to było interesujące ze społecznego punktu widzenia, raczej banalne”. Podobne, krytyczne opinie przedstawiali internauci pod postami o osiągnięciu Karasia. Ci pisali m.in. o głupocie, skrajnej nieodpowiedzialności czy znalezieniu sobie „normalnego” zajęcia. Krytyka przelała się też na partnerkę sportowca, Agnieszkę Włodarczyk, która musiała zablokować możliwość komentowania jej wpisów i relacji. Sam Karaś odniósł się do niepoehlebnych słów, broniąc swojego zachowania.

Bezsprzecznie to, czego dokonał Karaś jest wielkim wyczynem i pokazem niesamowitej determinacji w dążeniu do upragnionego celu. Postawa triathlonisty może być wzorem dla wielu, jednak aspekt zdrowotny oraz fizjologiczny dają inny ogląd na tę sytuację. Trzeba przemyśleć, czy trofea są warte takiego wyniszczania organizmu.

Bartosz MALUŚKI
barmal6@st.amu.edu.pl

„Lewy” i „Zielu” mistrzami, a co z resztą?

Mistrzostwo Napoli po 33 latach, czy walka o ligowy triumf w Niemczech trwająca do ostatnich sekund, to tylko niektóre przykłady na to, że miniony sezon był niezwykle ciekawy. A jak odnaleźli się w nim Polacy? Kilku z nich było kluczowymi postaciami swoich zespołów, jednak niektórzy chcieliby o ostatnich miesiącach jak najszybciej zapomnieć.

Czterech etatowych reprezentantów Polski zdobyło mistrzostwa w czołowych ligach europejskich, na dodatek prawie każdy z nich był ważnym elementem w układance trenerów. Mowa o Robertcie Lewandowskim (FC Barcelona), Piotrze Zielińskim, Bartoszu Bereszyskim (obaj SSC Napoli) oraz Sebastianie Szymańskim (Feyenoord). Kto tym sezonem pokazał Fernando Santosowi, że zasługuje na grę w reprezentacji?

Robert Lewandowski

Kiedy „Lewy” przechodził przed sezonem do FC Barcelony, zarówno wśród rodzimych kibiców Blaugrany, jak i w naszym kraju zapanała euforia. Polak miał być symbolem odbudowy i powrotu na szczyt „Dumy Katalonii”. Jego rola zmieniła się względem tej, którą odgrywał w Bayernie. W zespole Xaviego Robert miał być nie tylko egzekutorem, ale również brać udział w rozgrywaniu i pomaganiu młodszemu kolegom, jak Pedri czy Gavi.

Nowe zadania odbiły się na dorobku strzeleckim 34-latka. Lewandowski w całym sezonie strzelił trzydzieści trzy bramki, co jest dla niego najslabszym wynikiem od ośmiu lat. Mimo tego Polak zdobył Trofeo Pichichi, czyli nagrodę dla najlepszego strzelca ligi hiszpańskiej. Dodatkowo był kluczową postacią ekipy Xaviego w jej marszu po mistrzostwo.

Niestety żaden z naszych czołowych napastników nie nawiązał do osiągnięć Roberta. Arkadiusz Milik zdobył dla Juventusu zaledwie dziewięć bramek we wszystkich rozgrywkach, Karol Świdzki w barwach amerykańskiego Charlotte FC trafił do siatki jedynie sześć razy.

Jedynym zawodnikiem, który może pochwalić się dwucyfrowym dorobkiem bramkowym, jest Dawid Kownacki. Zawodnik Fortuny Düsseldorf zdobył szesnaście bramek w drugiej Bundeslidze oraz Pucharze Niemiec. Był zawodnik Lecha Poznań nie znalazł, jednak jak dotąd uznania w oczach selekcjonera i nie otrzymał powołania.

Piotr Zieliński

29-latek jest jedną z kluczowych postaci w Napoli i miał duży udział w zdobyciu przez tę drużynę mistrzostwa Włoch. Polak strzelił w ubiegłym sezonie siedem bramek oraz zaliczył jedenaście asyst. Zieliński dyrygował środkiem pola „Azzurich”, wychodząc w większości meczów w pierwszym składzie. Zaden z dotychczasowych selekcjonerów nie był w stanie uwolnić jego potencjału w reprezentacji. Być może zrobi to Fernando Santos. Czas najwyższy, aby Zieliński zaczął dawać naszej kadrze tyle, ile daje zespołowi nowego mistrza Włoch.

Jednak żeby Piotrek mógł rozwinąć skrzydła w reprezentacji, potrzebuje do tego odpowiednich partnerów w środku pola. Na pozycji numer „10” może występować Sebastian Szymański. Były zawodnik warszawskiej Legii jest świeżo upieczonym mistrzem Holandii. Był ważną postacią Feyenoordu, strzelił dziesięć bramek i zaliczył siedem asyst.

Nicola Zalewski

21-latek pomimo swojego młodego wieku jest ważnym elementem w układance José Mourinhu. Dostaje sporo czasu na boisku, dzięki czemu zdobywa doświadczenie na najwyższym europejskim poziomie. W tym sezonie rozegrał ponad 3000 minut i wraz z Romą dotarł do finału Ligi Europy. Nicola zaliczył w ostatnim czasie spo-



Lewandowski wraz z kolegami z drużyny zdobył mistrzostwo Hiszpanii

ry progres, co może się przełożyć na grę w reprezentacji Polski. Wraz z Przemysławem Frankowskim, który rozegrał dobry sezon w RC Lens, mogą stanowić o sile boków naszej kadry.

Zarówno Zalewski, jak i Frankowski mogą występować na bokach obrony, co może otworzyć drogę do pierwszej jedenastki Jakubowi Kamińskiemu oraz Michałowi Skórasiowi. Obaj wychowankowie poznańskiego Lecha mają za sobą świetny sezon.

Jakub Kiwior

Kiedy zimą przenosił się do Arsenalu, wielu polskich kibiców martwiło się, że Kuba nie będzie dostawał odpowiedniej liczby minut, co odbije się na jego postawie w reprezentacji. I rzeczywiście w pierwszych miesiącach Kiwior był jedynie rezerwowym, jednak w wyniku kontuzji innych graczy, wskoczył do pierwszego składu i od początku mają gra regularnie. Zbiera wysokie oceny, co dobrze wroży na przyszłość nie tylko w zespole „Kanonierów”, ale również w Reprezentacji Polski.

Problemem może być dobranie odpowiednich partnerów dla Kuby do gry w środku obrony. Jan Bednarek ma za sobą bardzo słaby sezon w barwach Southampton, z którym spadł do Championship. Dobrą alternatywą może być Mateusz Wieteska, który zbiera dobre noty za występy w barwach Clermont.

Kto zawiódł?

Po drugiej stronie medalu znajdują się piłkarze, którzy w ostatnim czasie poddali w wątpliwość swoją przydatność dla drużyny narodowej. Mowa tu m.in. Janie Bednarku, który rozegrał bardzo słaby sezon i wraz z Southampton spadł do Championship. Arek Milik nie spełnił oczekiwań w Juventusie, a Krzysztof Piątek irytował kibiców Salernitany swoją strzelecką niemocą. Do tego można dołożyć Bartosza Bereszyskiego, który ostatnie pół roku spędził na ławce rezerwowych w Neapolu.

Fernando Santos ma bez wątpienia o czym myśleć w kontekście gry naszej reprezentacji. Do Mistrzostw Europy co prawda pozostał jeszcze rok, jednak Portugalczyk musi znaleźć odpowiednie ustawienie dla drużyny, co nie będzie łatwym zadaniem. Lewandowski, Zieliński, Zalewski i Kiwior powinni być pewniakami do pierwszej jedenastki i to wokół nich Santos może budować resztę składu.

Bartosz Chałupka
barcha1@st.amu.edu.pl